

Jak to z Kinią było

12 stycznia 2015

To było na Woliniakowych wczasach. Pojechali w siódemkę, a wrócili w ósemkę. Z Kinią. A Kinia mała nie jest. Ale po kolei.

Woliniakowie pojechali na ten sam zatłoczony kemping, na który jeździli co roku, do tej samej zatłoczonej miejscowości i tak dalej, z tym, że miejscowość ta wcale nie leżała nad jeziorem, ani nad morzem. Właściwie nie było w tej miejscowości nic nadzwyczajnego i sam burmistrz dziwił się, dlaczego tylu ludzi zjeżdża tu z całej Polski, a zwłaszcza na zatłoczony kemping, i to w czasie, w którym pada deszcz.

Miejscowość, o której mówimy, nazywa się Słoneczna i ma najwyższy średnioroczny poziom opadów w całym kraju. Kemping nazywa się Przystanek Słoneczny Patrol (ktoś zmienił na Partol) i ma najwyższy wskaźnik włamań do domków i namiotów w całej Europie Dośrodkowej.

Pięcioletnia wypłowiwała chińska trójka z przedsionkiem, ale bez (ponieważ w panice uciekł poprzedniego lata) nie była zbyt przyjazna dla siedmiu osób. Przeciekała i miała wszystkiego dosyć, a najbardziej tego, że nie chcą dać jej spokoju, tylko targają i targają na te wczasy reumatyczne. Rzeczy rozpięte nad głowami schły od spodu, ale mokły od góry, bo namiot przeciekał na szyciu. Woliniakowe ubrania robiły się coraz cięższe i wisiały coraz niżej. Na tyle nisko, że Woliniak nie widział swojej żony, choć była potężną kobietą o skromnym charakterze i wychowaniu, które nakazywało jej nie rzucać się w oczy, co przy jej rozmiarach wcale nie było łatwe.

To, że nie widział żony mu nie przeszkadzało. Zresztą, gdyby nie wiszące rzeczy, to jego brzuch skutecznie przeszkodziłby w rozpoznaniu terenu poza przesileniem pępkowym, które było duże

jak sześć kufla piwa. Przeszkadzał mu za to zapach wiszących spodni, ale nic nie mówił, bo były jego, ale gdyby były Sławka albo Szymka, to zrobiłby awanturę. Dzieciaki poleciałyby z płaczem do baru pod daszkiem siedzieć i przyglądać się tępo, jak co bogatsi grają w piłkarzyki, i byłoby więcej miejsca w namiocie. Na tyle dużo, że można by się oprzeć na jednym ramieniu i zdrzemnąć chwilę, bo pogoda jak zwykle nie nastrajała do wyjścia w jakimkolwiek kierunku z wyjątkiem sklepu spożywczego z zimnym piwem.

– No, leć po piwko, Elka – powiedział Woliniak i przetarł swoje ponadprzeciętnie przeszklone oczy, a czoło nabiegło krwią w trybie plackowatym.

– Tato, znów mi powiedzą w sklepie, że jestem niepełnoletnia – odparła z nadzieją w głosie Elka, która miała dwanaście lat.

– Jak ci znowu powiedzą, to ja już im tak odpowiem, że... że co? Że pożałują. No leć i nie tagaj dyle. Tylko jedną colę sobie kup, a nie dwie jak poprzednio.

– Ale dzisiaj więcej ludzi, bo piątek i będzie kolejka!

– No idź i pamiętaj, że cztery piwa, a nie dwa jak poprzednio.

– Czesiek, rozpijasz siebie i rodzinę. No, Czesiu, no błagam – powiedziała żona cicho.

– Cicho, żona!

Elce odpowiadała czasowa emigracja z namiotu, bo wakacje ze starymi to słaby materiał na szkolny popis. Chwalić można by się było znajomością z tym przystojnym facetem, który sprzedawał do południa w sklepie. Tym Jarkiem. Wyglądał jak Troy-Z z Big Foot Boyz, a poza tym chodził w obcisłych spodniach, pozwalających na różne antykościelne fantazje. Za każdym razem był pretekst do rozmowy, bo Jarek nie lubił sprzedawać alkoholu nieletnim, a Elka liczyła na to, że z takiej krótkiej wymiany zdań zrobi się jakiś wieczór na tyłach

budynku gospodarczego.

Dziewczyna przeszła przez plac, jedyne miejsce o boku trzy na trzy metry, gdzie nie stał żaden namiot, i już miała wejść do sklepu, gdy zorientowała się, że coś jest nie tak.

Na zewnątrz dało się słyszeć wrzask Szamoniowej z sąsiedniego namiotu i ogólny zgiełk. Woliniakowi nie chciało się wyglądać, ale był ciekaw, ale mu się nie chciało, ale był ciekaw, ale ręka mu ścierpła, więc kazał żonie. Żona ledwie się wychyliła, a została staranowana przez rozpędzoną i rozgorączkowaną Elkę:

– Mama, tata! Przejaśnia się!

Tego, co działo się na Przystanku Słoneczny Partol, nie da się opisać. Można podać jedynie garść suchych faktów: dwie osoby z rozbitymi głowami, trzy staranowane poprzecznie, czternaście staranowanych podłużnie, siedem interwencji karetek pogotowia i migrena u kierowniczkę przedpołudniowej zmiany.

Chińska trójka cała się trzęsła, bo Woliniak się zorientował, że jedyne nadające się do noszenia spodnie właśnie wisiały i suszyłowioniały. Wziął więc plecak i znalazł szybko swoje szerokie kąpielówki, bo były suche, bo do tej pory nikt się ze względu na pogodę nie kąpał w jeziorze, którego przecież i tak nie było. Woliniakowa lamentowała cicho pod nosem, ale na tyle głośno, że usłyszał to Woliniak, który z jednej strony cieszył się, bo będzie można wyjechać w teren, a z drugiej nie, bo nie będzie można wypić piwa:

– Cicho, żona! Jedziemy oglądać tę atrakcję!

– Czesiu, tę, co rok temu?

– Tę, co rok temu, no chyba że w okolicy co nowego rzucili?

– No nie, no błagam, to na deptak pojedźmy.

– Na deptak nie jedziemy, bo wszystkie stąd jadą, to my nie. My tam, gdzie inni nie.

– No tak, mama, a i deptak już nie ten, bo teraz kostkę kładą i przejść się nie da – powiedział Szymon i też był już gotów. Tylko Elka nie wiedziała, co włożyć, bo chciała zostać na kempingu, ale ojciec szybko ją przywołał do porządku:

– Tylko mi nie mów, że zapomniałaś się w sklepie i musisz wrócić, bo ci nie uwierzę i jedziemy zanim się pogodzi ta popsuda.

– Przynajmniej będzie się gdzie schować. Nie to, co w namiocie – rzuciła cynicznie Ela, a namiot na to:

– Za grosz zrozumienia. Za grosz...

I pojechali zobaczyć atrakcję. Były tłumy.

– No przecież na deptaku kostkę kładą i nie da się przejść, to my tutaj przyjechali rozprostować kości! – krzyknęła Szamoniowa ni to do Woliniaków, ni to do całości audytorium zebranego przed atrakcją.

Poza tym chmury nie za bardzo chciały się rozejść, co oznaczało w dziewięćdziesięciu procentach, że może znowu zacząć padać.

– W dziewięćdziesięciu dwóch procentach – poprawił Szymon, bo chciał zdawać na matematykę i miał ku temu duże predyspozycje.

Atrakcji nie było na żadnej mapie turystycznej, bo nie przechodził tędy żaden szlak. Jej podstawową zaletą było to, że znajdowała się w odległości pięciu minut piechotą od północnego krańca pola namiotowego. Stała wedle lasu na niewielkim pagórku wśród iglastych samosiejek i wyglądała niepozornie, choć zmieściłaby i dwa takie kempingi masy turystycznej jak Słoneczny Partol.

Wszędzie wokół ziemia była rozorana kołami samochodów, bo nikomu nie chciało się iść.

Teraz przed wejściem stała kilkudziesięcioosobowa kolejka a

nad wejściem wisiał napis w estetyce grafiki bezdomnej: Jaskinia Pogodna, udostępniona do zwiedzania, opłata u pana w cytrynowem kubraczku.

Pan w Cytrynowem był samozwańczym opiekunem jaskini i razem ze swoim kumplem spod sklepu przy deptaku pobierali skromną opłatę 5 złotych za wejście.

– Przepraszam, ale rok temu nic to nie kosztowało – krzyknął jakiś pan z przodu kolejki.

– Rok temu to było rok temu, a teraz jest teraz i albo pan wchodziś, albo pan mokniesz – powiedział Pan w Cytrynowem i kolejka się uspokoiła. Zresztą większość wczasowiczów uważała, że jak atrakcja jest, to trzeba za nią zapłacić, bo inaczej przyszłoby to zupełnie bez wysiłku i nie byłoby atrakcji. Co więcej, znów zaczęło padać, więc w kolejce rozpoczęło się parcie do przodu.

– Szkoda tylko, że nie ma kiełbasek z różną – westchnął Sławek.

– Cicho, syn, do jaskini wchodzimy i wychodzimy i bez marudowania, czy kiełbasek innych, bo nie ma – rzucił Woliniak, bo był zły, że trzeba stać w kolejce.

– 5 złotych się należy. – Do Woliniaków podszedł pan w kubraczku, a Woliniak na to: – No już przed chwilą płaciłem za całą rodzinę, siedem głów, trzydzieści pięć złotych. A świstka pan nie dał, bo bym panu pokazał.

– A to przepraszam pana szanownego, przepraszam jeszcze raz szanownego, już sobie przypominam. Rzeczywiście pan płacił i przepraszam pana szanownego, a pan z urzędu to nie jest czasem? – odrzekł Pan w Cytrynowem, bo świstków nie dawał, bo był samozwańczym opiekunem, a nie oficjalnym.

– Poniekąd – odpowiedział Woliniak lewą częścią narządu mowy, co dało pożądany efekt tajemniczości.

– Tata, a ty zapłaciłeś? – spytała Ela.

– Nie pamiętam, rok temu na pewno – powiedział Woliniak i zaczął się denerwować, bo z przodu kolejki jakiś dryblas z czerwoną parasolką zatarasował przejście dla swojej wycieczki, która nawet nie była z kempingu, za to była wyposażona w czerwone parasolki z napisem Commercial Bank.

Pan w Cytrynowem zrobił skłon do pasa i odgrodził własnym ciałem gawieź z kempingu od dystygowanych ludzi z parasolami. Gawieź zaczęła ponuro szumieć. Woliniak się zdenerwował i zamiast przyłączyć się do groźnego pomruku, powiedział „no idziemy”, po czym wyszedł z kolejki. Przeszedł kilkanaście kroków, zanim zorientował się, że nikt z jego rodziny za nim nie idzie, a tylko patrzą błagalnie i pokazują na zbliżające się chmury.

Woliniak krzyknął:

– No idziemy, bo jaskinia ci, ci nie wyjdzie dziś, ci!

I wtedy jaskinia pochyliła się i zaczęła się łąsić. I Woliniak się obrócił zdziwiony i zesztyniał lewobrzeźnie (to efekt pozytywnego wpływu bodźców zewnętrznych). I wszyscy patrzyli na niego, a on powtórzył:

– Jaskinia ci ci nie ten!

I jaskinia zaczęła machać małą sosną rosnącą w miejscu ogona.

Ela była pod wrażeniem, ale też umiała zachować zimną krew. Powiedziała do ojca:

– Tata, ona tak robi na ci, ci.

– Jaskinia ci, ci! – krzyknął Woliniak i jaskinia podbiegła radosnym krokiem do Woliniaka, który po raz pierwszy od początku pobytu w Słonecznej się uśmiechnął. A wszyscy w kolejce stali jak zamurowani, tylko Szamoniowa zaczęła biec i z daleka krzyczała do Woliniaka:

– Ile za wejście u pana?

I inni ruszyli za Szamoniową, a dryblas pod czerwonym parasolem z pogardą spojrzał na to ludzkie zwałowisko i krzyknął w stronę jaskini:

– Jaskinia, ci ci i jedzonko również, ci ci!

Cisza. Wszyscy zamarli, a potem każdy zaczął wołać:

– Ci, ci, cip!

– No dobry, dobry, ci, dobry, ci ci!

– Jaskinia siad, jaskinia siad!

– Do nogi ci, do ci ci!

Jaskinia była głucha na te okrzyki i wtedy Pan w Cytrynowem krzyknął: „Kinia ci ci!”. Obejrzała w jego kierunku, spojrzała pogardliwie swoim otworem, pełniącym w tym momencie rolę oczodołu, wydała z tego otworu (pełniącego już w tym momencie rolę innego otworu) niemiły odgłos fizjologiczno-głębinowy i odwróciła z powrotem w kierunku swojego nowego pana, wydając z otworu (pełniącego rolę środkowego otworu twarzoczaski) radosne „hła, hła, hła!”.

Woliniak był wniebowzięty i uśmiechnął się po raz drugi od czasu, gdy po raz pierwszy się uśmiechnął.

I wtedy wszyscy zaczęli biec w stronę Woliniaka, jakby był płatem boczku w trudnych czasach, żona krzyknęła „Cześka mi potrurbuj”, Pan w Cytrynowem też krzyknął: „Panie! Pomocnika z doświadczeniem pan nie potrzebujesz?”, a Woliniak krzyknął: „Dzisiaj zamknięte do odwołania”.

Na szczęście zaczęło się przejaśniać i zwierzęca potrzeba ukrycia się przed deszczem ustąpiła miejsca potrzebie wystawienia się na słońce, które średnio raz na siedem minut wychylało się na trzydzieści cztery sekundy. Ludzie się

rozeszli i tylko człowiek spod czerwonego parasola poprosił Woliniaka o numer telefonu:

– Szanowny panie. Proszę mi uprzejmie tylko powiedzieć, gdzie pan będzie jutro z pana jaskinką, to przybędę z moimi podopiecznymi. Płacimy podwójną stawkę cennikową.

– Kinia, siad – powiedział Woliniak, a jaskinia usiadła z rozmachem godnym pomnika przyrody, doprowadzając do zagłady sosenkę pełniącą rolę ogona. Na szczęście było kilkanaście innych.

– Trochę się zastanowię – powiedział Woliniak i dodał: – Mresować tuszę.

– Czesiu, rodzinę mi rozbijesz, zmarnujesz i rozpijesz też. Zostaw to, dzieci ci nie wystarczą? – powiedziała cicho Woliniakowa, licząc z cielecym spojrzeniem w oczach na wyrozumiałość męża. Niestety najmłodsze dzieci (Rozalka i chyba Zdzisio, albo Zbysio) nie były po jej stronie, bo zaczęły krzyczeć:

– Tata! My chcemy zwierzątko, my chcemy. Będziemy się nią opiekować. No tata! Tata, weźmy ją. Ona jest taka śliczna! Zwierzątko takie!

– Śliczna to ona rzeczywiście jest. I ślicznie też jedzenie je. Kinia, a co ty jesz?! – spytał Woliniak, a jaskinia odpowiedziała radośnie:

– Hła, hłahła i hałha!

– Tu dyba chużo – rzekł Woliniak strapiony.

Wracali na kemping bez jaskini, która tymczasowo odpoczywała przywiązana przez męską część rodziny do dużego dębu.

– Tata znowu ma głupie pomysły. Jak przed trzema laty z tą cukiernią, jak nikt w rodzinie nie umie ciasta robić.

– Z cukiernią to było pomylenie reguł i się nie powtórzy, a zwłaszcza to, że matka powiedziała, że w mieście nie ma gdzie kupić ciasta – oddał Eli Woliniak i zaczął powoli sztywnieć od strony prawobrzeżnej (efekt działania bodźców negatywnych).

– O znowu na mnie, Czesiu, no jak ty możesz tak przy dzieciach, Czesiu, oj Czesiu... – zaczęła śpiew pokutny Woliniakowa.

– Cicho, żona! – krzyknął czerwony na twarzy w trybie pełnym Woliniak. – Podjąłem decyzję, że biorę, to biorę!

– Ale tata, to się nie trzyma żadnej reguły matematycznej, ani tym bardziej logicznej – powiedział Szymek i przytaknęli mu Woliniakowa i Ela.

Wszyscy w Słonecznym Partolu zastanawiali się, jak Woliniak ma zamiar zabrać do samochodu może i niewielką, ale jednak jaskinię. Przepustowość chińskiej trójki bez przedsionka zwiększyła się kilkakrotnie ze względu na dużą atrakcyjność tematu. Woliniakowi było to nawet na rękę, bo goście przychodzili z własnym alkoholem, a ponieważ wiedzieli, że lubi piwo, więc było to piwo.

– No powiedz sąsiad, wspólne linki mamy od namiotów, to mi możesz powiedzieć. No jak to możliwe – pytał sąsiad z polskiej czwórki bez sypialni (uciekła dwa lata temu).

– Sąsiad, powiem ci tak. Wiesz, ile lisiaj dudzi weszło to tego namiotu? Wiesz? Czterdzieści dwie sztuki się wepchnęły. No to już wiesz, że wszystko jest możliwe.

Tylko żona była niechętna i narzekała wciśnięta między plecak Szymka, plastikówkę z brudnymi rzeczami i kuchenkę gazową:

– Ludzie kochane, nie pchajcie się, męża mi rozpijecie. Już ja wiem, dlaczego on chce wziąć to do domu. Żeby inni przychodzili ciekawscy i go rozpili do cna, rozpili i całą rodzinę rozbili, biada, biada. I żeby chociaż jakiś ładny

nieduży, niekosztowny piesek miły, nie od razu, żeby rasowy, ale jakiś mały... a nie taka rozpasana z sosenkami bezwstydnymi – Woliniakowa biadoliła i przemyśliwała, jakby tu odwieść męża od tego dziwaczного pomysłu. Szymek był po jej stronie i Ela też, do momentu, gdy nie poszła do sklepu.

– Mama, bierzemy jaskinię, dobra?! – krzyknęła dziewczyna, gdy wróciła z lodami. Spędziła na zapleczu sklepu upojne cztery minuty z Jarkiem Big Foot Boys, któremu bardzo zaimponowało, że jej stary wziął się na taką stajla rzecz jak jaskinia.

Woliniakowa nie miała wyjścia, a Woliniak załatwił przyczepkę. Było trochę problemu z załadowaniem, ale koniec końców na „eeeej-jeep” mieszkańcy przybytku turystycznego wepchnęli Kinę i mocno przywiązali do burt.

– Nie przekracza gabarytów? – spytała Woliniakowa głośno, a obserwujący załadunek ze swoich namiotów sąsiedzi krzyknęli gromko „eee, nieeeee!”, bo byli ciekawi tej katastrofy samochodowej, która nieuchronnie powinna była nastąpić.

Katastrofa nie nastąpiła, bo w przyczepce dwa tygodnie temu wymieniono resory. Jechało się całkiem znośnie i już po dwudziestu minutach drogi zaczęło się przejaśniać. Słońce muskało wierzchołki sosenek i brykało po obrośniętym urocznym mchem wapieniu.

Woliniak spojrział w lusterko wsteczne i powiedział z lekką romantyczną zadyszką:

– Ona jest piękna...

Tak samo myślały dzieci na osiedlu, gdy dojechali na miejsce. Od razu Kinia stała się ulubienicą dziatwy z całej dzielnicy i o to właśnie Woliniakowi chodziło. Gdy sobie pomyślał, co to będzie, gdy jego plan się uda... No ale wtedy przyszła Dereniowa z góry i powiedziała, że sobie nie życzy tego dziwactwa na podwórku, bo jej wnuczek się od tych przeciągów w środku przeziębził:

– I kto mi zapłaci za leki?! Kto?! – krzyczała Dereniowa, bo lubiła krzyczeć i nie lubiła, jak ktoś mógł się pochwalić czymś większym niż jej 39-calowy telewizor. Ale za to z tą funkcją, że siedem stacji na jednym obrazie można oglądać i jeszcze podgląd na ósmą!

I zaczęło się. Dereniowa podburzyła wszystkich z klatki i jeszcze z bloku na samym końcu ulicy, więc niby co im było do tego, bo byli za daleko, a to do tego, że tam mieszkał Dereniowej konkubent.

– Czesiu, wpędzasz nas znowu, Czesieńku, no – biadoliła Woliniakowa i miała tym razem rację. Mąż musiał ustąpić pod naciskiem komitetu blokowego i rady protestacyjnej i usunąć jaskinię z najbliższej okolicy osiedla. Umieścił ją w, jak mu się zdawało, idealnym miejscu – na kawałku ni to nieużytku, ni to łąki, ni to pola dwieście metrów za osiedlem. Jak to zrobił, to się dzieciaki przestały interesować, bo za daleko.

I wszystko było na jego głowie. I dogłądanie i wyprowadzanie i pojenie wodą. Tylko od czasu do czasu pomagała mu Ela, bo prowadziła obfitą korespondencję z Jarkiem ze Sklepu Foot Boyz i tamten chciał zdjęcia dostawać stajłowe.

– Tu ci będzie dobrze, kochana, zobaczysz, przyzwyczaisz się. Trochę tu daleko, ale będę cię miał na oku, kochanieńka, a jak zrobię to i tamto, to już nikt w mieście nie powie, że pomuś krzeszkadzasz – mówił Woliniak, czule głaskając Kinie po fałdzie porostowej nad wejściem. Położył się na mchu, zamknął oczy i poczuł się wspaniale. Coś chodziło mu po lewej nodzie i był całkowicie pewien, że nie jest to pchła. To dodawało mu otuchy i pozwalało snuć plany na przyszłość. Był właśnie przy załatwianiu zaświadczeń, gdy usłyszał:

– Te. Stary grzybu. Spieprzaj stąd z tym swoim p... czarnuchem. My tu w piłę bedziem rżnąć! – powiedział osiłek w wieku okołoosiemnastkowym, jeden z kilkunastu osiłeków w wieku okołoosiemnastkowym, ubranych w pomarańczowe stroje do gry w

piłkę i patrzących z dojmującą pogardą na gramolącego się z mchu Woliniaka.

– Ależ panowie, tu chcecie grać, na tym ugorze, to nie lepiej iść...

– Ty mie tu nie gadaj, albo chyba że w mordę chcesz, chcecie – powiedział Kapitan Osiłków.

– W mordę mu? – podsunął Lewy Pomocnik.

Woliniak wracał cały zakrwawniony i w siniakach. Obijali go sosenkami, wyrwanymi z Kini, więc i ta ledwo się ruszała. A potem ją jeszcze oblali swoim moczem.

– Wiem, co czujesz. Musisz się przyzwyczajać. Tu jest miasto. Przenocujesz tutaj, a jutro się zobaczy – powiedział Woliniak rozglądając się wkoło. Kinia przykucnęła na placyku między blokami, tym samym, z którego wcześniej musieli się ewakuować.

To i ówdzie zafalowały firanki, gdzieś zaskrzypiało okno, a następnego dnia przyszedł do Woliniaków dzielnicowy i powiedział:

– Oj, panie Woliniak, znowu coś pan kombinujesz na okrętce. Nie dość, że twój zwierzak nie opuścił placu osiedlowego w przykazanym terminie, to jeszcze nie ma szczepień wymaganych, na ten przykład przeciwko wściekliźnie. A co będzie, jak kogoś pogryzie? Kto pójdzie do więzienia, bo ja nie? A gdzie kaganiec? A podatki pan odprowadzasz za czworonoga? Woliniak, powiem tak – jest problem.

I Woliniak zaczął robić się czerwony w trybie pełnym. I poszedł do sklepu na piwo i mu Dereniowej konkubent powiedział, że całą akcję z protestem to przecież jego własna żona zainicjowała, żeby pozbyć się Kini, bo to tylko pośmiewisko przed kościołem.

– Bo wiesz, ja generalnie nic do niej nie mam. Czysta, zarazków nie przenosi, a jak postawisz coś mocniejszego, to i

nawet ją polubię – mówił konkubent, a w Woliniaku zawrzało.

I była rozróżba domowa. I była policja. I Woliniak już wiedział, że nikt w rodzinie mu nie pomoże. I się wkurzył. I poszedł do urzędów walczyć o zaświadczenia, ale mu mówili:

– Ale to jakie zwierzę, domowe czy hodowlane?

– Niestety nie mogę, nie mam w rejestrze.

– Musisz się pan zdecydować, czy tresura, ale jak to tresura, jak to nieżywe jest, nieożywione, przecież wiem, sama jestem.

– Nie figuruje, zmień pan przepisy, jak pan takiś mądry.

I wtedy Woliniak się zawziął i wziął Kinę, i poszedł z nią do parku miejskiego i postanowił zrobić okupacyjny, aż mu dadzą te zezwolenia, co trzeba. Najpierw się chciał przywiązać do drzewa, ale potem szybko się zreflektował i przywiązał się do Kiny przecież.

Napisali o nim w gazecie lokalnej. Wtedy przybiegła Ela i zrobiła zdjęcie komórką i krzyknęła:

– Tata, jesteś stajler, wiesz!

I postawił na swoim. Podobno tylko dlatego, że pomyślał, by w środku miasta stała jaskinia spodobał się radnemu Jareckiemu, który z rozrzewnieniem powtarzał wszystkim, że jaskinie są pożyteczne, bo przecież swoją pierwszą dziewczynę pocałował w jaskini Boguraj.

Nieważne. Ważne, co Woliniak napisał na tabliczce:

„Tresowana Jaskinia. Pokazy codziennie, od 10.00 co pół godziny. Bilety w cenie promocyjnej”.

– Oj, Czesiu, no co ty nawymyślałeś, co ty myślisz, że ktoś coś takiego to w ogóle, że zwróci uwagę na takie dziwadłowanie. Rodzinę nam rozbijesz, na pośmiewsko wystawiasz, oj Czesiu – biadoliła Woliniakowa w drodze do

kościół.

W drodze z kościoła już nie biadoliła – w parku przed Kiną zebrał się spory tłum ciekawskich. Woliniak spojrzał na zegarek. Była punkt dziewiąta.

– No, Kiniusiu. Zaczynamy, kochana. Dędzie bobrze.

– Hła hła hałh! – radośnie odpowiedziała jaskinia, a z jej wnętrza wyleciała gromadka zaspanych i zdziwionych nietoperzy, wzbudzając tym powszechny zachwyt.

Autorstwo: Piotr Kowalczyk

Źródło: [Password Incorrect](#)

Licencja: [CC BY-NC-ND 2.5](#)